

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

7

— Dziękuję bardzo, panie dyrektorze — wyszeptała młoda dziewczyna. — Czuję się już lepiej, o wiele lepiej. Śmieszne doprawdy, żeby tak stracić głowę.

— Nic dziwnego, moje dziecko, po takim przejściu powinnaś jeszcze odpocząć.

— Nie, nie — broniła się Fernanda. — Pan dyrektor za dobry dla mnie. Jestem już silna i natychmiast powrócę do biura. Zajęcie łagodzi moje cierpienie. W domu czuję się gorzej — mówiąc to, powstała i pewnym krokiem, podziękowawszy raz jeszcze dyrektorowi za jego względy, oddaliła się.

Jeżeli Fernanda tak skwapliwie chciała się jak najprędzej znaleźć przed swoim aparatem, pomimo silnego osłabienia, to jedynie dlatego, iż przed chwilą dobiegł ją stamtąd głos ojca. Fernanda wiedziała, że to nie było złudzenie, głos ten byłaby między tysiącem innych poznała. Ileż to razy ojciec, będąc w Paryżu, z kawiarni jakiej lub restauracji wzywał ją do telefonu tylko dlatego, aby jej powiedzieć dzień dobry. I teraz ten sam głos poznała, żądający połączenia. Wrażenie było za silne, straciła niestety przytomność, ale obecnie, przygotowana już, śledzić będzie uważnie każdy dźwięk, wydobywający się z aparatu i uczyni to spokojnie i zimno, aby nie wzbudzić niepotrzebnej uwagi.

Najwidoczniej ojciec, zawstydzony atakiem manii, którą go nawiedzała, nie ośmielił się powrócić do domu, tylko z nią, Fernandą, chciał się przedtem rozmówić. A może czekać będzie na ulicy, gdy z biura wychodzić będzie.

Cały dzień Fernanda przeżyła w niepokoju i oczekiwaniu, lecz powróciwszy do domu, nie zdradziła się przed matką i siostrą.

Nazajutrz rano, gdy udawała się o zwykłej godzinie na dworzec św. Łazarza, była pod wrażeniem, że spotka ją coś niezwykłego. I rzeczywiście, za ledwie stanęła przy aparacie, rozległ się dzwonek i głos wczorajszy, głos ojca, zażądał połączenia z jedną z większych drogueryi w Paryżu. Fernanda przez chwilę sądziła, że to żart ojca i po raz pierwszy, odkąd pracowała w biurze telefonów, szybko pochwyciła słuchawkę, aby przejąć słowa stron rozmawiających. Spotkało ją rozczarowanie. Mówiono o jakimś wielkim zakupnie tranu rybiego. Więc był ktoś w Paryżu, mający głos i sposób mówienia ojca. Prędko pochyliła się nad księgą adresową i wyczytała według numeru nazwisko nowego abonenta, widocznie zapisanego podczas jej nieobecności.

— Jan le Kerlack — przy ulicy Poissonniere, dostawca tranu rybiego.

W Fernandezie obudziło się nagle pragnienie. Musi jeszcze raz usłyszeć ten głos, poznać tego pana Kerlacka! Następných trzech dni wolna była do południa. Pod pozorem uczynienia pewnych potrzebnych domowych sprawunków, Fernanda wymykała się do Paryża i wczesnym już rankiem obejmowała posterunek obserwacyjny przy ulicy Poissonniere, naprzeciw domu, zamieszkanego przez Jana Kerlacka. Widziała różnych ludzi wchodzących i wy-

chodzących z tego domu, ale który z nich był ten, którego szukała?

Nareszcie trzeciego dnia tej obserwacji, w chwili gdy już miała udać się do biura, stanęła nagle, jak gdyby wrośnięta w ziemię, z oddechem zamartłym w piersiach.

W głębi bramy dojrzała sylwetkę i choć sylwetka ta tonęła w cieniu, nie omyliła ją przecucie, bo był to jej ojciec! Pierwszym odruchem jej było przebieść ulicę i zawołać, dać się poznać, ale powstrzymała ją przypuszczenie, że może ojciec pragnie ukrywać się dalej, nie należało więc go zdradzać.

Ukryła się więc naprzeciw w domu, którego brama tylko w połowie była otwarta i w ten sposób widzieć mogła dokładnie w pełnym świetle wychodzącego człowieka. I natychmiast ogarnęła ją niepewność. — Czy to był naprawdę jej ojciec? Wzrost i tusza były te same, ta sama twarz, oczy, broda. Tylko odmienne było ubranie, a zamiast ulubionego przez ojca Rembrandta, człowiek ten nosił twardy kapelusz.

Przy wyjściu z bramy dobiegł nieznajomego stróż domu i chwilę z nim rozmawiał w postawie pełnej uszanowania.

Nieznajomy szedł teraz wolno ulicą, plecami zwrócony do Fernandy i tak w ruchach przypominał ojca, że uczuła znowu gwałtowne bicie serca i zamęt w głowie. Ale siłą zapanowała nad wzruszeniem. Przebiegła ulicę i stanęła w bramie naprzeciw stróża.

— Czy to pan Jan Kerlack wyszedł przed chwilą z tego domu? — spytała szybko.

— Tak jest, proszę pani, można go jeszcze dogonić.

— Dziękuję panu — szepnęła Fernanda mniej pewnym już głosem, oddalając się w kierunku, w którym szedł „dostawca tranu“.

Biegła szybko i wkrótce ujrzała znajomą sylwetkę, posuwającą się równym, kołyszącym się krokiem o kilka kroków przed sobą — Fernanda wyminęła Jana Kerlacka i nagle zawróciła. Oh! teraz będzie mogła mu spojrzeć prosto w twarz! Jan Kerlack szedł, pogwizdując lekko, jak to zwykł był czynić jej ojciec, ale twarz jego w jasnym oświetleniu słońca wydawała się starszą, w brodzie więcej zmierzwionej wilo się dużo srebrnych włosów. I twarz ta nie posiadała tego pogodnego wyrazu twarzy pana Morela i choć usta uśmiechały się, szczególnie na widok przechodzącej ładnej kobiety — uśmiech ten był trochę obcy. Na widok Fernandy oczy Kerlacka zajaśniały zachwytem, postąpił jej całusa zgrabnym ruchem ręki i wyszeptał dość głośno, aby być przez przechodzącą dosłyszany:

— A to dopiero ładna dziewczyna!

Jan Kerlack, dostawca tranu.

— Jak się masz, moja kochanko! — rzekł Jan Kerlack, budząc się nad ranem.

Jan Kerlack nie był żonatym, więc wykrzyknik ten stosował się do jedynej towarzyszkii życia — pięknej, wiśniowej fajki, umieszczonej przy łóżku. Jednakże niebieskawe dymy, którymi z namiętnością lubił się otaczać stary kawaler, nie musiały ujemnie wpływać na stan jego zdrowia, bo wygląd miał dość czerstwy, a w dzielnicy, w której mieszkał od pewnego czasu, miano go za wesołego i jowialnego człowieka.

Skąd tu przybył i gdzie przebywał dotąd — o tem nikt nic nie wiedział. Przypuszczano tylko, że musiał odbyć wiele podróży, bo znał prawie

wszystkie kraje świata, przytem otrzymywał dzienniki drukowane w różnych językach.

Jan Kerlack, gadatliwy i towarzyski, niechętnie mówił o sobie. Przybywszy do Paryża wynajął ładne mieszkanie przy ulicy Poissonniere, w którym urządził sobie biuro, jednak pracował w niem sam. Sam również zajmował się rozsprzedaniem butelek z tranem rybim, jak utrzymywał bezwonnym i o tak przyjemnym smaku, iż pochłaniany bywał przez dzieci i starszych, jako nadzwyczajny przysmak. A że Jan Kerlack wyleczył był swojego czasu żonę stróża z dotkliwego bólu głowy, sposobem nabytym, jak sam mówił, od sławnego amerykańskiego doktora — więc też i dzielnica cała okrzyczała go mądrym i uczonym człowiekiem. Jan Kerlack jednak miał jedną wadę — lubił kobiety, a szczególnie Paryżanki — od dnia przyjazdu swojego do Paryża zawiązał był kilka flirtów bez znaczenia z pannami z magazynów i kasyerkami sklepów, do których dostarczał swój „bezwonny tran“, ale małżeństwa obawiał się i bronił dotąd przed niem dzielnie.

Ostatnim jego flirtem była panna od telefonu. Nie widział jej nigdy i prawdopodobnie nigdy nie ujrzy, ale głos jej brzmiał tak sympatycznie przez aparat, że nie mógł się wstrzymać, aby jej nie powiedzieć kilka komplementów dziennie, żądając równocześnie od niej połączenia z potrzebnym numerem.

Lecz coraz częściej męczyło go pragnienie, nie poprzestania na tym flircie przez telefon. Gdyby tak mógł się dowiedzieć, która to i oczekiwać przed biurem, gdy wieczorem wychodzić będzie? A jeżeli to naprawdę jakie miłe i dobre dziecko, mające już narzeczonego? Należało być uczciwym i pamiętać o siwiejącej brodzie i zmarszczkach na czole.

Oh! gdyby Jan Kerlack był wiedział, z jakim utęsknieniem i niepokojem oczekiwano jego słów i jakie wzruszenie wywoływał jego głos w duszy panny od telefonu!

Gdyby był wiedział, że ta ładna, zgrabna brunetka, którą spotykał co kilka dni, wychodząc rano ze swojego domu, była właśnie tym flirtem!

Długo namyślał się Jan Kerlack, zanim powrócił do Paryża, do tego Paryża, którego zaułek każdy tak dobrze był mu znanym, jeszcze z czasów pierwszej młodości. A jednak dotąd nie odwiedził jeszcze wszystkich dzielnic. I nigdy nie zapuścił się w poszukiwaniu klienteli w północną część miasta, ani w stronę ogrodu Botanicznego i Luwru.

Ale wkońcu sam zaczął się wstydzić tej ostrożności. Jeżeli istniało dla niego jakie niebezpieczeństwo, to tak samo spotkać go mogło w tamtych częściach miasta, jak i w dzielnicy Łacińskiej.

A dzielnicę Łacińską ujrzał był zmienioną do niepoznania. Zmiany te potrosze cieszyły go, bo był człowiekiem postępu, a jednak nie mógł oprzeć się przykrej melancholii, gdy uświadomił sobie zaniknięcie kilku ulic i domów o przestarzałej strukturze! Nie odnalazł już piwiarni „Ojca Okularnika“, gdzie niekiedy w towarzystwie kolegów przesiedział do białego dnia i skąd prosto, w zanedo jeszcze dobrym humorze, udawał się na wykłady do kliniki, ani kawiarni „Matki Michand“, gdzie mu szklanek grzanego wina podawała niezapomniana gryzotka Liza, bóstwo wszystkich studentów!

Wszystko uległo zmianie! Więc i on zmienić się musiał. Mógł więc teraz spokojnie chodzić po tych ulicach, zatopiony myślami o wspomnieniach młodości!

I wkońcu Jan Kerlack odważył się zapuścić na bulwar św. Michała, a stamtąd na ulicę, gdzie mieściła się klinika. Przystanął raz na chwilę przed



Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.